

S 53 [200]

OPŁATA POCZTOWA RYCZALTEM

Nr. 200.

Nr. 200.

BIBLIOTECZKA  
HISTORYCZNO-GEOGRAFICZNA

CYKL:

POLACY NA SZLAKACH ŚWIATA

BOHDAN LEPECKI.

# Czarni Brazylijanie

26/-  
Nie klamać —  
bawiąc.

ROJ



~~BIBLIOTEKA~~  
Zarząd Głównego  
Liga (Morskiej) i (Kolonjalnej)

Nie nudzić —  
ucząc.

T-Wo WYD „ROJ” S. Z. O. O.  
WARSZAWA. KREDYTOWA 1. P. K. O. Nr. 9880.

Demog. 2000

**Tomiki biblioteczki historyczno-geograficznej  
są łączone w następujące cykle :**

- „SŁYNNI KOCHANKOWIE” Nr. Nr. 2, 11, 14, 104, 111, 129.  
„ROSJA NA RUBIEŻY” Nr. Nr. 3, 32, 43, 63, 74, 80, 88, 90, 93, 98, 119,  
121, 201.  
„WŁADCY” Nr. Nr. 4, 20, 23, 53, 103.  
„PIORUNY I BŁYSKAWICE WSCHODU” Nr. Nr. 5, 37, 54, 66, 185, 205.  
„JAK UMIERALI WIELCY LUDZIE” Nr. Nr. 6, 9, 30.  
„CYKL OBYCZAJOWY” Nr. Nr. 7, 10, 65, 68, 81, 94, 155, 158, 161.  
„WIELKIE PROCESY” Nr. Nr. 1, 8, 24, 25, 31, 40, 67, 89, 133, 186—187.  
„EKRAŃ I SCENA” Nr. Nr. 13, 47, 57, 71, 86, 136.  
„ZMIERZCH HABSBUURGÓW” Nr. Nr. 15, 34, 49, 55 9 .  
„CYKL MORSKI” Nr. Nr. 17, 33, 46, 59—60, 91, 105, 107, 112, 117, 120,  
125, 127, 131, 137, 144, 145, 153, 159, 166, 172, 188, 194, 204.  
„POLACY NA SZLAKACH ŚWIATA” Nr. Nr. 18, 22, 39, 42, 44—45, 48,  
58, 61, 72, 108, 140, 154, 162, 200,  
„ZDOBYWCY I ODKRYWCY ŚWIATA” Nr. Nr. 19, 28, 41, 77, 114.  
„CYKL MYŚLIWSKI” Nr. Nr. 26. 5  
„CYKL SZPIEGOWSKI” Nr. Nr. 9,  
110, 118, 130, 157; 163, 175  
„CYKL KRYMINALNY” Nr. Nr. 8,  
164, 170, 171, 173—174, 17  
„CYKL LOTNICZY” Nr. Nr. 79, 8  
„WOLA I PRACA” Nr. Nr. 62, 11  
„POLSKI CYKL OBYCZAJOWY” 19  
146, 155, 158, 161, 165, 16  
„ŚWIAT DZIWÓW” Nr. Nr. 12, 16, 64, 61, 112—113, 114, 115, 116, 117, 118, 119, 120, 121, 122, 123, 124, 125, 126,  
142—143, 151—152, 160, 167—168, 175—176, 181—182, 191—192  
198—199.  
„WALKA O NIEPODLEGŁOŚĆ” Nr. Nr. 35—36, 70, 100—101,  
„CYKL SPORTOWY” Nr. Nr. 35—36, 70.  
„SPIŚKI I ZAMACHY” Nr. 106.

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55  
tel. 22 69-78-773



Wa5150249



Składano w druk. „LINOLIT”, Warszawa.  
Odbito w druk. „GRAFIA”, Warsz., Orła 9.

NH-42 392 Tg

## „REKRUTACJA“ CZARNYCH

Murzyni, stanowiący poważny\*) odsetek ludności Brazylii, nie przyjechali do Nowego Świata dla poprawienia sobie bytu. Wyrwała ich ze spokojnych, ocienionych palmami wiosek afrykańskich chciwość białych plantatorów portugalskich, pragnących z potu czarnych bliźnich wycisnąć upragnione złoto.

Conquistadorzy luzytańscy, którym szczęśliwe losy umożliwiły zdobycie obszernej i żyznej ziemi brazylijskiej, próbowali zaprząć do pracy na roli czerwonoskórych tubylców. Na szczęście dzicy Indianie zupełnie nie nadawali się na niewolników i albo przekładali śmierć z bronią w rękę nad niewolę, albo też — skuci przemocą w kajdany — dawali marne korzyści swoim panom, pracując źle, lub umierając przedwcześnie.

---

\*) Murzyni, mulaci i metysi stanowią 75% ludności Brazylii.

Ponieważ o sprowadzeniu większej ilości Portugalczyków do katorżnych robót na plantacjach nie było mowy, biali plantatorzy postanowili przywozić niewolników murzyńskich z Afryki. Plan ten udał się w zupełności. Na wybrzeża afrykańskie ruszyły liczne statki handlarzy niewolników, którzy drogą kupna lub też ogniem i mieczem zdobywali upragniony „czarny heban“. Niemał od pierwszych chwil kolonizacji portugalskiej w Brazylii, aż do połowy XIX wieku wiozły niezliczone okręty przymusowych emigrantów z Afryki do Nowego Świata.

W jaki sposób dostawali się murzyni ze swoich cichych wiosek afrykańskich do Brazylii? Podróżnicy europejscy, wędrujący po Czarnym Łądzie w okresie, kiedy handel niewolników był tam jeszcze szeroko rozpowszechniony, wiele pisali o chwytaniu przemocą lub kupowaniu negrów przez białych kupców i dostawianiu ich do faktoryj, położonych nad brzegami oceanu Atlantyckiego, skąd już bez wielkich trudności transportowano ich do Nowego Świata. Oddajmy głos nieustraszonemu podróżnikowi angielskiemu Mungo Parkowi, który w latach 1735-1797 wędrował po krainach położonych w dorzeczu Nigru i widział więcej niż ktokolwiek inny.

„Europejczycy... Anglicy, Holenderzy, Duńczycy przywożą do tego kraju broń og-  
nistą, amunicję, napoje wyskokowe, tytoń,  
czapki bawełniane, sukna, wyroby szklane  
fraszki i t. p. Wzamian dostają złoty piasek  
kość słoniową, wosk i skóry. Najważniejszym  
ednak artykułem wywozowym są niewolnicy

...Początki tego handlu były trudne, bo  
murzyni nie przyjmowali pieniędzy euro-  
pejskich. Wewnątrz Afryki posługiwali się  
muszlami kauri; negrzy nadmorscy przy-  
jęli jako miernik wartości żelazo. *Sztaba że-  
laza* była według ich pojęć równoważnikiem  
takiej lub innej ilości płodów miejscowych.  
Z biegiem czasu ten sam miernik wartości  
zastosowali murzyni nadmorscy również i do  
owarów sprowadzanych z Europy. Tak np.  
ilość tytoniu odpowiadającą pod względem  
wartości sztabie żelaza nazywali *sztabą ty-  
toniu*. Odpowiednie ilości rumu, soli lub ja-  
kiegokolwiek innego towaru nazywały się  
*sztabami rumu, soli* i t. d. Obecnie (t. j. w  
r. 1795), *sztaba* jakiegobądź towaru ma usta-  
loną cenę dwóch angielskich szylingów“.

Drogą handlu biali kupcy nie mogli zdo-  
być wystarczających ilości „czarnego heba-  
nu“. Tam więc, gdzie nie wystarczały ku-  
szące fraszki europejskie, ani wódka, ani na-  
wet piękne fuzje, uciekali się do pospoli-

tych zbrodni. Gromady dobrze uzbrojonych i suto opłacanych „łowców niewolników“ spadały jak burza na wioski murzyńskie, wybijały opornych, starych i chorych i pędziły resztę nad brzegi Atlantyku. Uwijały się zaś tak energicznie, że nigdy nie brakowało ładunku dla żaglowców, transportujących niewolników.

Murzyni powszechnie wierzyli, że biali kupują niewolników celem pożarcia ich lub sprzedania innym ludożercom. Ogarnięci śmiertelnym lękiem, korzystali z każdej sposobności, aby ujsć przed czekającą ich zgnębą. Łowcy niewolników musieli skuwać ich parami w kajdany. Nieszczęśliwi mogli kroczyc tylko bardzo powoli utrzymując łańcuchy na linie. Wiązano ich pozatem po bzterech liniach, ściskającami ich barki i krępującami ręce na noc. Buntującym się, zakuwano jedną nogę w dybę.

W takich warunkach, pod zabójczemi promieniami słońca afrykańskiego, odbywał się pochód niewolników do faktoryj nadbrzeżnych.

Niepodobna opisać nieprawości, towarzyszących temu okropnemu handlowi. Kroniki owych czasów przepelnione są opisami niesłychanych gwałtów i okrucieństw. A przecież było to tak bardzo niedawno! Do-

piero w 1888 roku cesarz Don Pedro III-ci zniósł niewolę czarnych. Do dziś żyją w Brazylii murzyni, którzy byli w młodości niewolnikami.

## OKRĘT HANDLARZY NIEWOLNIKÓW!

Aby zobrazować sposób w jaki odbywało się transportowanie niewolników do Ameryki i sprzedawanie ich na targach brazylijskich, sięgnę do wspaniałego dzieła Francuza *Jakóba Arago* p. t. *„Podróż naokoło świata“*<sup>\*)</sup>, w którym humanitarnie nastrojony podróżnik w żywych barwach maluje niedolę czarnych. Oto co pisze Arago o sposobie przewożenia murzynów z Afryki do Brazyliji:

„Oddawna już mówię o panach i niewolnikach, o ofiarach i katach, a dotąd nie wspominałem skąd i jak przybywają do narodów ucywilizowanych owi ludzie z hebanowem czołem i kędzierzawemi włosami, bezwątpienia umyślnie stworzeni, do uprawiania ziemi i konania pod razami pletni. Posłuchajcie więc:

---

\*) Arago odbywał podróż do Brazyliji w 1-ej połowie XIX wieku.

Wiele wam mogę powiedzieć o tym przedmiocie, albowiem zwiedziłem bardzo dokładnie jeden z owych straszliwych i posępnych grobowców, w którym rozlegało się tyle cierpień. Zaprawdę, widzieć, to już rzecz okropna dla duszy, to ścina krew w sercu.

Sądźcie o innych okrętach z tego, bowiem był to jak mi mówiono, statek luksusowy; sądźcie o innych kapitanach z tego, o którym słyszałem, bowiem był to kapitan wspaniałomyślny, litościwy, stosownie do pochlebnego portretu, który o nim skreślono. Jest to okręt trzymasztowy, mogący objąć 350 beczek ładunku, ogromny, ciężki, brudny, smrodliwy; jego liny były źle przymocowane, jego maszty — upstrzone tysiącami kolorami, jego pomost — zbłocony, posiany kawałkami niedopalonych cygar i szczątkami sznurów, wiosel i żagli. Z każdej strony ma po cztery działa, a pomiędzy armatami suszą się na słońce żółte maty, na których widnieją ogromne plamy krwi z przyłgniętymi do nich czarnymi, kędzierzawymi włosami.

Przyjęto mnie na pokładzie uprzejmie i zaproszono, abym zszedł do wnętrza statku. Pod pomostem było nisko i duszno, chropowato dla nóg i niebezpiecznie dla głowy, gdyż o grube nagłówki i silne, żelazne ogni-



wa, przymocowane do łęków śrubami, czoło obijało się gwałtownie. Tu sypia, owiniętych w cuchnące kołdry wełniane, lub w wiszących, brudnych i podartych hamakach, pięćdziesięciu lub dwudziestu majtków — tłuszcza włóczędzy i złoczyńców, zebranych ze wszystkich krajów kuli ziemskiej. Powietrze przytłacza ci pierś w tych podmostach niedoli, a jednak jest to miejsce spoczynku, zbyt kojący pokój, buduar okrętowy, sala do uroczystości i tajemnicze schronienie rozkoszy i rozpusty, jeśli drogą transakcyj handlowych na wybrzeżach Angoli, kapitan dostanie kilka młodych dziewcząt wzamian za sztukę materiału lub kilkaset cygar.

Niżej jeszcze, na samym spodzie okrętu, wszystko jest symetrycznie ustawione, starannie upakowane; ten porządek przynosi zaszczyt budowniczemu i dekoratorowi. U ogromnego drąga żelaznego, dobrze i silnie przymocowanego do boków, i dylowania statku, widać przyłączone ogniwa, które zakładają na nogę niewolnika. Może on wstać, siedzieć, kłaść się na pakach i beczkach, może bez wielkiej trudności obracać się na prawo i lewo, mówić, być pomocnym swojemu sąsiadowi, a właściciel nie gniewa się o to. Wprawdzie nie bardzo jasno w tym lochu, powietrze tam zabijające, lecz na cóż jest

potrzebne powietrze i światło dla silnych piersi, dla wzroku ostrowidza, przenikającego najwięk sze ciemności? A zresztą — cóż jest to powietrze, ten dzień, to niebo, ten widnokrąg, te gwiazdy na firmamencie, to słońce ogrzewające? To jest *luksus życiowy* — nie wszyscy ludzie są stworzeni do używania o. A wreszcie — *czyż to są ludzie* owi nieszczęśliwi, których przykuto do drągów i ogni w żelaznych? Wcale nie — to są drapieżne zwierzęta, szakale porwane z poród dzikich stepów do zaludnienia i wzbogacenia dobroczynnej ziemi.

Raz lub dwa razy na godzinę kapitan, czy też porucznik okrętowy, majster lub podmajstry, uzbrojony długim, węzłowatym rzemieniem, wchodzi do tej smrodliwej otchłani i przeglądają łańcuchy. Jeśli dostrzegą usiłowanie lub tylko powezmą najmniejsze podejrzenie, że niewolnik próbował z nich się oswobodzić, natychmiast rzemień warczy w powietrzu, a uda, plecy i tył występ nego po cięte są w czerwone pasy, z których krew spływa potokiem na sąsiada. Po skończonej operacji, na dany znak, brzmią śpiewy, jakby koncert zgłodniałych wilków; biada naówczas temu, kto nie wzdyma płuc swoich do ryczenia o radości i szczęściu swoim.

Lecz godzina obiadowa wybiła, a nawet

murzyni, nawet niewolnicy muszą jeść koniecznie, by żyć. Powiem więc — muszą jeść wiele, bo wielkich sił potrzebują do zniesienia tyłu męczarni. Właściciele ich pojęli to doskonale i przez zbytek wspaniałomyślnej tkliwości dają im też garść mąki mandjokowej i ogromny cebrzyk, napełniony spleśniałą i słoną wodą, do której wszyscy rzucają się z chciwością. Podobna uczta odbywa się dwa razy dziennie. Widzicie więc, że ludzkość nie utraciła jeszcze zupełnie praw swoich.

Co więc, każdy niewolnik ma z kolei prawo do wyjścia na pomost. Tam przechadza się pomiędzy dwoma majtkami, przypatrzuje dowolnie owemu dalekiemu widnokręgowi, sprzyjającemu przeprowie, owym przezroczystym i świecącym wodom, które go unoszą, owemu dalekiemu horyzontowi, na którym się zaciera jego ziemia rodzinna, owemu widnokrągowi bliższemu, gdzie będzie pędził życie *wśród spoczynku i szczęścia*.

Już wspomniałem, że przegląd na spodzie okrętu odbywa się co godzinę, a niekiedy i częściej jeszcze. Jak tylko charczenie przedśmiertne oznajmi właścicielowi, że jeden z podróżnych zaczyna konać, natychmiast rozkuwają go, obwiązują sznurem wo-

kół pasa i wyciągają za pomocą bloku na pomost. Tam kładą go na jednej z owych żółtych mat, o których już mówiłem. Po udzieleniu tego pierwszego ratunku, kołysanie okrętu przerzuca tam i sam czarne widmo, które wije się z boleści lub leży nieczułe. Jeśli wówczas majtek spotka je na drodze, odpycha nogą i posuwa na swoje miejsce. W godzinę później cała załoga okrętu, pochylona z ciekawością nad falami, pogwizdując, przypatruje się, jak rekin łup swój pochwyti i liczy ile minut potrzebuje do pogryzienia i połknięcia człowieka. Widzicie, że i morze ma także swoje rozrywki i swoje dni uroczyste.

Lecz inne, dramatyczniejsze jeszcze wypadki, zdarzają się w czasie długiej przeprawy; bywa czasem, że okręt wojenny ściga z rozpuszczonemi żaglami handlarzy murzynów, wpada na jeden z tych przeklętych statków, na zniszczenie których niebo niedosyć ma gromów! Cóż się wtedy dzieje? Ścigany kapitan, jeśli go doganiają, rozkazuje wytać beczki na pomost, pakuje w nie niewolników, zabija je i wrzuca w morze. I to jest także zabawka!

Kapitan, zawinąwszy do portu, idzie zobaczyć się z właścicielem statku.

— I cóż?

— Byłem ścigany, musiałem ładunek wyrzucić w morze.

— Przygotuj się więc do odpłynięcia z najpietwszym pomysłym wiatrem: na targu brak towaru“.

W taki sposób odbywało się transportowanie „emigrantów“ murzyńskich z Afryki na plantacje brazylijskie. A przecież podróżnik francuski opisywał statek „luksusowy“, na którym w swoisty sposób *dbano* o czarny towar. Na innych okrętach udręki niewolników były jeszcze straszniejsze. Zwłaszcza kobiety narażone były na bestjałskie znęcanie się ze strony zbieraniny marynarskiej, wyzutej ze czci i sumienia. Nawet okoliczność, że za dziewice płacono więcej, nie powstrzymywała majtków przed zbeszczeszczeniem czarnych dziewcząt. Ofiarami wyuzdania padały nierzadko i dzieci. Bóg tylko jeden wie, ile tragedij odegrało się w cuchnących i czarnych wnętrzach żaglowców, wiozących negrów do Brazylii...

Po tak okropnej podróży, dobijali wreszcie niewolnicy do Nowego Świata. W naiwności swej mniemali może, że nadszedł już res ich cierpień. Z ciekawością spoglądali na stare, holenderskie jeszcze czasy pamiętające forty nadbrzeżne miasta Bahia de São

Salvador\*) (Zatoka Św. Zbawiciela), będącego centrum handlu niewolnikami. Inni znów, których wieziono dalej na południe Brazylii, z podziwem przypatrywali się dziwacznej górze, przypominającej kształtem głowę cukru\*\*), wystrzelającą ostrym i stromym szczytem nad samem wejściem do portu Rio de Janeiro. Biedacy, myśleli, że w tej pięknej krainie ludzie muszą być lepsi niż na okręcie handlarzy niewolników. Jakże bardzo się zawiedli! Najbliższe dni przekonały ich, że los gotuje im jeszcze wiele bolesnych niespodzianek.

## TARG NIEWOLNIKÓW.

Wkrótce po przyjeździe, skoro czarni odetchnęli trochę po męczącej podróży, nabierając nieco lepszego wyglądu, właściciele pędzili ich na targ niewolników.

Dzisiaj niewolnictwo wytępione zostało

---

\*) Stolica stanu Bahia, trzystotysięczne miasto portowe, położone na północy Brazylii nad brzegami oceanu atlantyckiego.

\*\* Pao de Assucar (Głowa cukru)—górra, wznosząca się na 600 metrów, znajdująca się u wejścia do portu Rio de Janeiro.

niemal na całym globie. Trzeba sięgnąć do starych kronik, aby opisać targ ludźmi. Oto jak według tych relacyj wyglądało targowisko niewolnikami w Rio de Janeiro.

„Rio de Janeiro — pisze kronikarz — nie jest grodem, w któremby sztuki kwitnęły, ale za to przynajmniej jest miastem handlowem i spekulacyjnem, gdzie każdy przybywający z kapitałami jest mile przyjmowany, jakby uposażał kraj nowemi bogactwami.

Otóż jestem na ulicy, na której duch handlowy zatknął swój wszechwładny kaduceus. Nazywa się ona *Vallongue*, jest to bazar otwarty dla całego świata, powszechna schadzka, wieczny i ciągły jarmark, jest to niby rynek publiczny, forum, obóz, słowem — co tylko zechcesz; jest to miejsce dla ciekawych badań i dumań... Wejdźmy. Tu sam towar wabi, prosi, śpiewa, wrzeszczy, abyś tylko na niego zwrócił uwagę; czyni się pięknym i powabnym, wówczas nawet, gdy jest odrażający i brudny; twoja wzgarda zasmuca go, a jeśli nie otrzymał pierwszeństwa, to przynajmniej nie uszedł twojej uwagi.

Tu, w niskiej, cuchnącej sali, poprzybijane są do ziemi i ścian czarne, zatłuszczone ławy. Na nich, wśród wilgoci, siedzą nadzy mężczyźni, kobiety i dzieci, a niekiedy nawet i

tarcy, oczekujący na kupującego. Zaledwie en stanie w drzwiach, na dany przez właściciela znak, cały harem skacze, rzuca się, wykręca, wrzeszczy dzikie śpiewy, dowodząc, że na płuca i doskonale zna swoje obowiązki. Biada temu, kto się nie stara przewyższyć swoich towarzyszków! Jest tam bat smagający boki i wyrzucający w powietrze kawały czarnego ciała.

Lecz powiedziałem, że każdy umie swoją rolę i odgrywa ją przewybornie. Teraz milczenie — targ się zaczyna i kupno musi być zawarte.

— Oh! Pst! Pójdź tu!...

Coś wstaje; to coś jest stworzeniem, mającym oczy, czoło mózg, serce jak ty i ja... Mylę się — serce nie bije w tej piersi; reszta jest w komplecie.

— Patrz pan — mówi właściciel.

— No, nieźle...

— Chodź.

I to coś chodzi.

— Biegaj!

I to coś biega jak koń andaluzyjski.

— Podnieś głowę, ruszaj członkami, tupaj, śmieję się, krzycz, pokaż zęby!

— Brawo! Ile kosztuje?

— Sześć poczwórnych luidorów.

— Masz pięć. Ale, ale, a ospa?



— Już ją miał... Przypatrz się pan dobrze.

W istocie, plamki białawe, połyskujące, u i owdzie rozsiane po czarnem ciele, świadczą, że rozpalone żelazko dotykało się go, pozostawiwszy po sobie małe dołki, mylące niedoświadczonego nabywcę.

— Masz tu pieniądze.

Przychodzi nowy nabywca.

— Dalej... wstań, pójdź tu, chodź, skacz!  
— zupełnie ta sama litanja co przed chwilą.

— No, nieźle. Młoda ma zęby lśniące. Ale...

— Bądź Jaśnie Wielmożny Pan spokojny, zaręczam...

— Trzy uncje, mówisz? Masz!

— Wy, reszta, śpiewajcie! — woła właściciel do pozostałych niewolników.

Dwaj nabywcy wychodzą, popchnąwszy nogą przed sobą swój „nabytek“. Właściciel zsypuje złoto do skórzanej sakiewki i znów staje we drzwiach dla zatrzymania nowych przechodniów. Oto w minjaturze targ na czarnych w Brazylii.

Nazajutrz zobaczysz w kościele, przed wielkim ołtarzem, dwóch czarnych w białych muślinowych koszulach, przewiązanych w pa-

się niebieską lub różową wstążką, z kwiatami na głowie... Oboje zostali chrześcijanami“.

## LOS CZARNYCH.

Niewolnik przybył do Brazylii i został sprzedany. Jakiż jest los jego na ziemi, zwanej przez zdobywców portugalskich „Ziemią Świętego Krzyża“?

„Kraj ten — pisze jeden z podróżników — bezwątpienia jest zakątkiem ziemi, w którym niewolnicy znajdują się w najopłakaniejszym położeniu.

„...Spójrzij na tego przechodzącego człowieka — jego szyję silnie zaciska pierścień żelazny z zawieszonym prostopadle mieczem z tego samego kruszcu, to niewolnik, który chciał uciec — właściciel naznaczył go jako włóczęgę.

Tu znów inny, z twarzą zakrytą szczelnie elazną maską, mającą tylko otwory na oczy zamykaną na kłódkę. Nędznik ten, sprzykrywszy sobie bat, żywił się ziemią i żwirem, skona jednak pod batem za występne usiłowanie samobójstwa.

Inny — widziałem go i słyszałem —, przywiązany do pala odbierał pięćdziesiąt razów, z których najsłabszy rwał mu ciało.

...Przy ulicy Prostej w Rio de Janeiro — ciągnie dalej podróżnik — mieszkał złotnik, który w krótkim czasie zebrał znaczny majątek. Wyuczył wielu czarnych niewolników tak dobrze swojego rzemiosła, że uchodzili za tak wykwalifikowanych, jak najbieglejsi jubilerzy paryscy. Nic, dziwnego, że kupujący cisnęli się do sklepu, a z nimi i poczwórne luidory. Co roku liczba niewolników złotnika powiększała się, a wszyscy, po ukończeniu przykrego terminu, w czasie którego był głównym nauczycielem, pozostawali w jego domu.

Jeden z nich, biedny Galubach, młody dziewiętnastoletni Mozambijczyk, z wklęsłym czołem, kabłąkowatymi nogami i rękami szerokiemi jak łopaty, nic mógł pojąć sposobu użycia żadnego narzędzia, a mniej jeszcze wartości cyzelowanych klejnotów. Kara cielesna nic zdziałać nie mogła; chciał czegoś się nauczyć, lecz nic nie pojmował. Pan jego, znudzony i rozgniewany, kazał mu co rano stawać przed swoim obliczem i ścierał mu pilnikiem zamknięte w kleszczach palce. Jęki niewolnika rozdzierały duszę. Z ręką owiniętą staremi gałganami nieszczęśliwy siadał przed sklepem i z rozkazu pana przywoływał kupujących. Palce jego były co dzień to krótsze, ból co dzień okropniejszy.

Męczarnia ta trwała już miesiąc, a Galubach nie stawiał najmniejszego oporu, nie odezwał się z najmniejszą prośbą. Cierpiał... myślał, że na to jest stworzony i oczekiwał końca w milczeniu, z pokorą i cierpliwością.

Godzina operacji znowu wybiła, już kleszcze rozwarły swoje kły.

— Pójdź tu! — rzekł pan.

Galubach podszedł, odwiązując po drodze szmaty.

— Nie, nie tą rękę, daj drugą.

— Acb, panie!

— Drugą, mówię ci!

— Litości, panie, litości!...

Niewolnik padł na kolana i pierwszy raz członki jego zadrżały, a oczy zabłysły krwawymi łzami.

— Co to? On płacze! — zawołał pan, kopnąwszy go nogą.

— Oh, ja nie płaczę! — krzyknął niewolnik, wstając.

Chwycił za pilnik. Jego podniesiona ręka opadła, żelazo utkwilo w oku srogiego pana i wyszło, krwią zbroczone, tyłem głowy.

Ani jeden murzyn nie drgnął, aby przeszkodzić wykonaniu tej zemsty.

Galubach pobiegł jak błyskawica drogą

do Saint Christophe\*). Przybywszy na dziedziniec zamku królewskiego, padł na kolana, zgiął kark i zawołał:

— Łaski!

Król, siedzący na balkonie, usłyszał wołanie i rozkazał szambelanowi przywołać czarnego. Galubach, wstąpiwszy na kilka stopni, raczej się zachołgał, niż doszedł do monarchy.

— Czego żądasz? — zapytał Jan VI.

— Łaski!

— Coś zrobił?

— Zabiłem człowieka.

— Nieszczęsny, czemuś to zrobił?

— Patrz, Najjaśniejszy Panie!

Mówiąc to, czarny odwinął zranioną rękę.

— Niech go natychmiast opatrzą i potem napowrót przyprowadzą — rzekł król.

— Gdzie mieszkasz? — zapytał król, skoro go zpowrotem przyprowadzono.

— Przy ulicy Prostej.

— U kogo?

— U R... złotnika.

---

\*) W dzielnicy Saint Christophe znajdował się pałac królów portugalskich, rezydujących w Brazylii.

— O co cię oskarżał?

— O nic. Jestem niezgrabny, piłowałem więc mi od miesiąca palce u lewej ręki, Dziś ciciaci zabrac się do prawej... Zabułem go.

— Posłać po świadków, — powiedział król.

Kareta ruszyła i wkrótce przywieziono do Saint Christophe kilku niewolników zabitego złotnika. Wszyscy zgodzili się na jedno—nikt nie obwinił czarnego, wszyscy z goryczą mówili o srogości ich pana.

— Dosyć, — rzekł monarcha. — Czy wasz pan ma żonę i dzieci?

— Nie.

— Tem lepiej.

— Jak się nazywasz?

— Galubach.

— Galubach, — rzecze król — oddaję ci tych murzynów, którzy przyszli świadczyć i tych, którzy pozostali w magazynie jubilerskim. Weź ich na własność. Weź również bogactwa pana, któregoś zabił. Idź, bądź sprawiedliwy, strzeż się okrucieństwa i pomnij na karę, którą sam wykonałeś.“

Ten sam podróżnik wszedł pewnego razu do domu pp. M. R... w Rio w celu odwiedzenia dwóch „nader miłych panienek“. „Zastałem je — pisze — leżące na pięknej, chińskiej macie. Bawiły się uderzaniem szpicru-

tą niewolnika, któremu zabroniły się poruszać. Nieszczęśliwy miał poznaczone pręgami nabiegłe krwią policzki i plecy, nie śmiał się jednak poruszać, mimo piekielnego bólu... W Brazylii nadewszystko kobiety odcho-  
dzą się z oburzającą srogością z niewolnika-  
mi.“

Wypadki barbarzyńskiego obchodzenia się z negrami nie były odosobnione. Tak sumienny i ostrożny w ferowaniu sądów, jak *Karol Darwin*, nie znajduje słów do napiętnowania ucisku czarnych w Brazylii. Jego „*Podróż Naturalisty*“ na wielu stronach zawiera jaskrawe opisy niedoli murzynów w tym kraju.

„...13 sierpnia — pisze Darwin — opuści-  
liśmy po raz ostatni brzegi Brazylii. Dziękuję Bogu, że już nigdy nie zwiedzę kraju niewolników. Do dziś dnia jeszcze, gdy słyszę z odległości jakie krzyki, staje mi żywo w pamięci przykre wrażenie, jakiego doznałem, kiedy przechodząc obok pewnego domu w Brazylii, usłyszałem godne politowania jęki; jęki te tłumaczyłem sobie tem, że katowano biednego niewolnika, a wiedziałem przytem, że jestem tu bezsilny jak dziecko. Sądziłem, że jęki te pochodziły od katowanego niewolnika, albowiem kiedyś wyraźnie mi to powiedziano. W pobliżu Rio de Janeiro mieszka-

em naprzeciwko jednej starej damy, która miała śruby w celu przygniatańcia palców swoim niewolnicom. Zatrzymałem się w domu, gdzie młody mulat, należący do służby domowej, był codziennie, całemi godzinami, przeklinany, bity i prześladowany i to do tego stopnia, że wyczerpałaby się cierpliwość nawet najniższego zwierzęcia. Widziałem, jak małego chłopca w wieku lat sześciu lub siedmiu, trzy razy uderzono batem po obnażonej głowie — zanim zdołałem się ująć krzywdy jego — za to, że poczęstował mnie wodą w szklance niezupełnie czystej; widziałem, jak ojciec jego drżał na samo spojrzenie swego pana. Okrucieństwa te widziałem własnymi oczami w kolonji hiszpańskiej, w której, według powszechnej opinij, niewolnicy lepiej jeszcze bywają traktowani, niż przez Portugalczyków, Anglików lub inne narody europejskie. Widziałem jak w Rio de Janeiro pełen siły młodzieniec obawiał się odpowiedzieć na wymierzony mu policzek.

Byłem obecny przytem, jak pewien nieokrzesany człowiek powziął zamiar rozdzielenia mężczyzn, kobiet i dzieci, należących do wielu bardzo rodzin, które oddawna już były ze sobą razem. O licznych, smutnych okrucieństwach, o których słyszałem, nie wspomnę już nawet, nie wspomniałbym też powyższych



wstrętnych szczegółów, gdyby nie to, iż po-  
uałem kilku ludzi, którzy byli tak olśnieni  
konstytucjonalną wesołością negrów, iż mówi-  
i o niewolnictwie jako znośnem złem. Po-  
obni ludzie zwiedzali po większej części do-  
ny wyższych klas, gdzie niewolnicy zazwy-  
czaj bywają dobrze traktowani, lecz nie żyli,  
jak ja, pomiędzy niższemi warstwami. Bada-  
cze tacy dowiadują się od niewolników o ich  
położeniu, lecz zapominają, że niewolnik mu-  
si być chyba bardzo głupi, jeśli nie rozważa,  
jakie mogłyby być skutki, gdyby odpowiedź  
jego doszła do uszu pana.

Twierdzono, że własny interes pana sprze-  
ciwiał się okrutnemu obchodzeniu się z nie-  
wolnikami, lecz przecież interes własny nie  
zabezpiecza także przed niczem naszych zwie-  
rząt domowych, które mniej zapewne pobu-  
dzać mogą do gniewu swych dzikich panów,  
aniżeli upośledzeni niewolnicy. Jest to argu-  
ment przeciw któremu już oddawna protesto-  
wał znakomity Humboldt, przepełniony uczu-  
ciem szlachetnem; przytoczył on uderzające  
i w oczy bijące przykłady.

Próbowano często niewolnictwo okrywać  
płaszczykiem porównania stanu niewolnictwa  
ze stanem naszych nędzarzy: jeśli nędza na-  
szych biedaków nie jest uwarunkowana pra-  
wami natury, lecz naszemi urządzeniami spo-

łecznemi, w takim razie grzech nasz jest już wielki, nie pojmuję wszakże, w jakim to jest związku z niewolnictwem; zupełnie tak samo możnaby bronić używania w jakimś kraju śrub do gniecenia palców tem, iż w innym kraju ludność cierpi z powodu jakiejś choroby. Ci, co mają wzgląd na właścicieli niewolników, a z zimnem sercem spoglądają na tych ostatnich, nigdy, zdaje się, nie wchodzili w położenie niewolników:... Wyobraźmy sobie, że ci biedni ludzie w każdej chwili narażeni są na to, iż mogą być oderwani od żon swych i od dzieci, przedmiotów, stanowiących naturalną ich własność — i że sprzedani być mogą jak sztuki bydła, pierwszemu lepszemu kupującemu! A czyny te wykonywane są i bronione przez ludzi, którzy wyznają zasadę: *kochaj bliźniego swego jak siebie samego, wierzę w Boga i proszę go, aby wola jego spełniona została na ziemi!* Krew nam się burzy i serce drży na samą myśl, że i my Anglicy i nasi potomkowie amerykańscy z naszym hasłem wolności mieliśmy i mamy\*)

---

\*) Wtedy, kiedy Darwin pisał te słowa (w roku 1836), istniało jeszcze niewolnictwo w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

tak ciężkie winy; możemy się wszakże pocieszyć tem, że dla poprawienia grzechu ponieśliśmy większą ofiarę, niż kiedykolwiek wszelki inny naród!!...“

W ten sposób pisze o niewolnictwie w Brazylii największy uczony, jakiego wydała Wielka Brytania, człowiek spokojny, ważący swoje słowa, na którego zdaniu można bezwzględnie polegać. Ten znakomity przyrodnik nie dał się zwieść pięknemu niezrównanej flory brazylijskiej—jego serce, czułe na niedolę człowieczą, wzdrygnęło się do głębi na widok poniżenia i niedoli czarnego brata. Dziękował Bogu, że już *„nigdy nie zwiedzi kraju niewolników“*. Cóż dodać lub odjąć można do jego słów tak prostych, ale i tak wymownych zarazem. Musiało jednak minąć przeszło pół wieku od ich wypowiedzenia, zanim pękły kajdany, jakimi zakuci byli czarni niewolnicy w Brazylii...

Murzyni nie zawsze poddawali się biernie ciemństwu białych panów. W wielu wypadkach porywali się do indywidualnych aktów sprzeciwu. Niemal zawsze jednak bunty takie kończyły się śmiercią lub straszliwym skatowaniem buntowników.

Widząc bezskuteczność gwałtownego oporu, niewolnicy bardzo często szukali zbawienia w ucieczce. Korzystali z tego, że kraj po-

kryty był gęstą puszczą dziewiczą, w której aż nadto było wszelakiego rodzaju kryjówek. Przywykli do błąkania się po lasach afrykańskich, czuli się doskonale w gorących stepach i dżunglach Brazyli.

Uciekinierstwo przybrałoby olbrzymie rozmiary, gdyby nie środki zapobiegawcze ze strony panów karzących surowo schwytych zbiegów, oraz krwiożerczość Indian, z którymi wcześniej czy później musieli się zetknąć, koczujący po lasach czarni. Pomimo tych przeszkód, były okresy w historii niewolnictwa w Brazyli, kiedy czarni zbiedzy zakładali w głębinach odwiecznych borów całe kolonje, uzbrojone od stóp do głów i gotowe w każdej chwili do stawienia oporu swoim panom. Nigdy jednak nie wytworzyła się w Ziemi Świętego Krzyża jakaś państwowa jednostka terytorjalna, rządzona przez uciekinierów murzyńskich. Kolonje, które od czasu do czasu tam powstawały, upadały za silniejszym atakiem białych.

Największą trudnością, uniemożliwiającą zorganizowanie jakiegoś poważniejszego buntu czarnych, była ich różnorodność etniczna. Handlarze niewolników nie przywozili ich z jednego określonego terytorjum afrykańskiego, lecz z całego szeregu punktów „czarnego lądu“. Obok transportów z Angoli, przybi-

ały do Bahii i Rio de Janeiro ładunki murzynów z Mozambiku, Gwinei i wielu innych, oddalonych od siebie ogromnemi przestrzeniami, krain afrykańskich. „Imigrantów“ łączył tylko kolor skóry, no i... wspólność niedoli. Panowie ich, w myśl zasady „divide et impero“, zręcznie wykorzystywali antagonizmy plemienne, istniejące między nimi, karząc Angolczyka ręką Mozambijczyka, a Mozambijczyka batem dzierzonym przez Angolczyka.

## WYZWOLENIE MURZYNÓW.

Niewola czarnych przetrwała niemal aż do naszych czasów. Pod wpływem zniesienia w latach sześćdziesiątych niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i w Brazylii coraz silniejsze stawały się tendencje do wyzwolenia czarnych. „Od roku 1866 — pisze jeden z podróżników, — ministeryja (brazylijskie — przyp. aut.) zmieniały się jedne po drugich. Wielkie hasła równości i ludzkości rozbrzmiewały zarówno wśród liberałów, jak zachowawców. Jeden projekt zniesienia niewolnictwa po drugim tawał na porządku dziennym, ale, gdy był uż bliskim urzeczywistnienia, zazwyczaj, gabinet, popierający go, upadał, nowy zaś —

pokrywał dzieło poprzedników głuchem milczeniem, aż zmuszony głosem opinii, sam wstępował znowu w jego ślady, ale zarazem i niedługo był zmuszony podzielić jego losy. Z tych to powodów obecnie (t. j. w r. 1891 — przyp. aut.) oba stronictwa — zachowawcze i liberalne — przypisują sobie zasługę zniesienia niewolnictwa, chociaż w rzeczywistości zasługa to jedynie cesarza.

Główną przeszkodą w zniesieniu niewolnictwa stanowił wzgląd na ekonomiczne interesa kraju. Obawiano się, że tym sposobem zabraknie rąk do pracy i rozległe „fazendy“ kawowe legną odłogiem, że, jednym słowem, kraj zostanie zrujnowany. Każdy przeto rząd, jednocześnie z projektem zniesienia niewolnictwa, obmyślał najróżnorodniejsze środki, mające na celu wzmożenie imigracji.

Tymczasem cesarz (Dom Pedro III-ci — przyp. aut.) nie dał za wygraną. W roku 1870 szczególnie wrzało w gabinecie. U steru rządu stanął przywódca zachowawców, margrabia São Vincente i wypracował nowy projekt stopniowego zniesienia niewolnictwa. Niestety, nie zdołał go w izbie przeprowadzić i był zmuszony ustąpić. Po nim, po długich pertraktacjach, utworzył dnia 7 marca 1871 r. nowy gabinet wicehrabia de Rio Branco. Cesarz udał się wówczas w pierwszą

podróż po Europie, a regencję objęła następczyni tronu Donna Izabella. We wrześniu nowy rząd rozpoczął w Izbie walkę niemal na noże i po długich debatach zdołał wreszcie, 28 września, przeprowadzić prawo, mocą którego wszystkie, w Brazylii od tej daty urodzone, dzieci z matek murzyńskich miały być wolnemi.

Pierwszy wyłom został więc uczyniony. Drugi dopełniono w r. 1885, uchwalając za gabinetu Saraivy, w dniu 6-ym maja, nowe prawo, uwalniające wszystkich murzynów, liczących więcej niż 60 lat z warunkiem, aby jeszcze przez 3 lata służyli swoim panom za określoną opłatą.

Oba powyższe prawa czyniły faktyczne usamowolnienie murzynów już tylko kwestją czasu. Jakoż rzeczywiście od r. 1872 liczba niewolników z każdym rokiem zmniejszała się. Podczas, gdy w r. 1870 liczono ich jeszcze 1,800,000, w r. 1873 1,584,000, w roku 1885—1,050,000, w roku 1887 już tylko 743,419.

...Ciągle jednak nad szlachetnemi intencjami Don Pedra wisiała, niby miecz Damoklesa, groza przesilenia ekonomicznego, które fazenderzy w zwiększonych jeszcze przedstawiali rozmiarach. Poważniejsi wprawdzie i głębiej patrzący odczuwali konieczność zniesienia niewolnictwa i sami, na własną

ekę, przedsiębrali środki, celem zastąpienia  
zarnych rąk białemi. Dotyczyło to przede-  
wszystkiem niektórych bardzo bogatych fa-  
zenderów z prowincji São Paulo. Wielu z  
nich udało się szczególnie przyciągnąć emi-  
rantów włoskich i portugalskich. Niektó-  
rym z nich powiodły się tak dalece te ich  
siłowania, że jeszcze przed ogłoszeniem zu-  
pełnego usamowolnienia uczynili to z wła-  
nej inicjatywy. Między innymi uczynili to  
senatorzy, a zarazem bogaci fazenderzy, pp.  
Correa de Oliveira i Antonio Prado.

...Przyszła wreszcie chwila stanowcza. Za-  
tępująca cesarza podczas trzeciej jego po-  
dróży do Europy, następczyni tronu Donna  
Izabella, postanowiła, ostatecznie załatwić się  
z sprawą usamowolnienia niewolników. Ja-  
koż po upadku dn. 10 marca 1888 r. gabi-  
netu Cortegipe, regentka powołała do rzą-  
dów gabinet Correa de Oliveira, który po  
czterodniowych rozprawach w Izbie, prze-  
forsował 13 maja tegoż roku, prawie jedno-  
myślnością głosów zniesienie niewolnictwa.

Według obliczeń Santa Anna Nery,  
fazenderzy stracili około 485.225 contos  
e reis, czyli, według ówczesnego kursu,  
1 miliard 213 milionów franków złotych.  
Ostatecznie fakt został dokonany i opinia  
publiczna całej Brazylji przyjęła go z me-



łychanym zapalem. Po różnych miasteczkach urządzono wielkie festyny narodowe, wielbiono dekret regentki i przyklaskiwano mu powszechnie. Prawo usamowolniające nazywano „złotą ustawą“.

Kto jednak bliżej i głębiej znał stosunki niejskowe, czuł, że burza zbiera się skrycie powoli, że niebawem uderzy piorun w tych, którzy odważyli się z Brazylii zmyć ohydłą plamę niewolnictwa.... Większość fazenderów poruszało niebo i ziemię, aby pomścić swoje straty, głosząc na wszystkie strony o niechybnej ruinie kraju i opustoszeniu jego skutkiem braku rąk, głównej podstawy normalnego funkcjonowania plantacyj kawowych. Wówczas, dla zamknięcia ust krzykaczom, ogłoszono orędzie cesarskie, zapowiadające forsowne poparcie imigracji. W celu jej wzmoczenia chwycono się środka najfatalniejszego — zawierania kontraktów z pojedynczymi osobami, lub towarzystwami o dostarczenie pewnej liczby emigrantów z Europy.

Otóż w ten sposób, niemal już na schyłku cesarstwa, zawarte zostały kontrakty o dostarczenie 750,000 ludzi z następującymi agentami: pp. Vicomte Figueredo i Joachim Gaetano Pinto na 250,000 emigrantów, z pp. Angelo Fioritta i Jose dos Santos, również na 250,000; resztę rozdzielono między sześciu

fnnych, polecając każdemu dostarczenie od 10—25,000 emigrantów.

Czysty zysk na każdym dostarczonym emigrancie, po potrąceniu kosztów podróży z Europy do Brazylii i innych wydatków, połączonych z naganianiem „żywego towaru“ w sieci agentów, wynosił po 27 fr. złotych.

Jeśli jednak rządy cesarskie mniemały, że przez tak forsowne poparcie imigracji zdołają ukoić gniew wydziedziczonych fazenderów i że krokiem tym zdołają zażegnać wiszącą nad niemi burzę, to wnet same wypadki miały je przekonać, że rachuby ich były płonne.

Nieprzejednani fazenderzy, pomimo swej przynależności do obozu zachowawców, podali rękę republikanom. W dużej mierze dzięki temu związkowi, zupełnie niespodziewanie, 15 listopada 1889 roku, dokonany został zamach stanu. Cesarstwo upadło, a na jego miejsce ogłoszona została republika z rządem prowizorycznym, na którego czele stanął generał Deodoro da Fenseca.

W istocie, nigdy republika nie powstała w bardziej dziwacznym warunkach. Przygotowała ją po części zemsta i odwet za najwyższy akt ludzkości i cywilizacji, a stworzył wypadek.

Koniec niewolnictwa stał się również koń-

cem ustroju monarchicznego w Brazylii. Jednak historii nie można było cofnąć. Plantatorzy mieli dosyć siły na wywrócenie tronu królewskiego, ale zbyt mało na przywrócenie niewoli. Raz rozkuty więzień za żadne skarby nie pozwoliłby włożyć sobie obroży na szyję. Zresztą, nawet plantatorzy północno-amerykańscy, przy akompaniamencie armat Lincolna, musieli zrzec się swej czarnej własności i nie było mowy, aby gdzieś na lądzie amerykańskim mogło jeszcze istnieć formalna niewola. Wolność czarnych była faktem dokonany i niemożliwym do cofnięcia.

## POWRÓT CZARNYCH DO CZŁOWIECZEŃSTWA.

To co nastąpiło w ciągu kilkudziesięciu lat, t. j. od 1883 roku do czasów dzisiejszych było zdarzeniem jedynem w swoim rodzaju w rocznikach świata. Mam tu na myśli niesłychaną poprostu zmianę w położeniu czarnych w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat.

Przed 1888 rokiem murzyn w Brazylii był niczem. Los jego zależał od fantazji pana. Przytoczone przez nas obrazy iście dantejskiej niedoli czarnych świadczą, iż fantazja

ta była często wysoce zwyrodniała. Niewolnika można było smagać tak mocno, aż leciały kawałki żywego ciała, zgniatać mu palce śrubami, lub też piłować je pilnikiem. Uwiedzenie murzynki była ulubioną zabawą młodych i jurnych fazenderów, zabicie zaś czarnego — niewiększą zbrodnią niż u nas zabatożenie konia lub zastrzelenie złego psa.

Po edykcie Don Pedra sytuacja radykalnie się zmieniła. Czarne *coś*, *zwierzę pociągowe*, nie będące nigdy subjektem, lecz zawsze objektem prawa, stało się pewnego poranku pełnoprawnym obywatelem kraju, mogącym głosować, zostać posłem, prezydentem stanowym, a nawet prezydentem federalnym... Do pracy nie gonił go już bicz białego oprawcy. Zawsze roześmiane słońce Brazylii zajrzało radośnie do jego lepianki, krytej liśćmi palmowemi.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej wyzwolenie murzynów nie zrównała ich z białymi. Murzyn ma prawo głosować, może zostać posłem i prezydentem, ale na Południu, które zamieszkuje w większej liczbie, musi albo pokornie głosować na białego, albo też zostaje odpędzony od urny wyborczej strzałami rewolwerowemi członków

antykatolickiej i antymurzyńskiej organizacji Kux-Klux-Klanu. Jest „wolny i równouprawniony“, ale broń Boże jeśli ośmieli się usiąść w cukierni obok białego współrodaka. Natychmiast wyleci za drzwi i dziękuje jeszcze Bogu, jeśli na dodatek nie wybiją mu kilka zębów. Za formalnem równouprawnieniem politycznem nie przyszło w Ameryce Północnej faktyczne równouprawnienie w jakiegokolwiek dziedzinie życia. Drobne koncesje uzyskują negrzy bardzo powoli i to dopiero po latach zaciętych walk i żmudnych starań. Częste linczowanie murzynów za rzeczywiste lub urojone przestępstwa świadczy, iż biali Yankesi w żaden sposób nie chcą się zgodzić na traktowanie czarnych jak wolnych obywateli, obdarzonych pełnią praw człowieka. O poważniejszej reakcji ze strony murzynów niema mowy, bo liczba ich nie przekracza 12 milionów i stanowi zaledwie 10 procent ludności Stanów Zjednoczonych. Jeden buntownik murzyński musiałby walczyć z 9-ciu białymi prześladowcami. To też nienawiść do białych wyraża się tam co najwyżej jakąś bójką uliczną w dzielnicy murzyńskiej, kiedy, korzystając ze zmroku, kilku czarnych dżentelmenów pobije zabiąkanego białego.

W Brazylii sytuacja była odmienna niż w

Stanach Zjednoczonych, wskutek czego i rezultaty zmiesienia niewolnictwa były biegunowo różne. Przedewszystkiem liczebność czarnych i kolorowych, w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców, była w Brazylii znacznie większa niż w Ameryce Północnej. Pomimo potężnej imigracji białych z Europy, a zwłaszcza z Włoch, Portugalji, Polski i Niemiec, czarni i mieszańcy *jeszcze w chwili obecnej stanowią 75 procent ludności Brazylii*. W okresie znoszenia niewolnictwa procent kolorowych był jeszcze większy. W tych warunkach nie było mowy, ażeby do czarnych Brazyłjan można było stosować te same metody, które stosowali biali Yankeei do czarnych Yankeesów. Przeciwnie, powszechnie lękano się, żeby murzyni, rozzuchwaleni zdobytą wolnością, nie zechcieli mścić się na wczorajszych panach. Przypomniano sobie, jak to murzyni na Haiti pod wodzą słynnego Toussaint-Louverture'a wyprawili krwawy karnawał białym panom i wysłanym im na pomoc wojskom Napoleona. Jeden z podróżników, zwiedzających Brazylię, w pierwszej połowie XIX-go wieku, pisał: *„Biada Brazylii, jeśli kiedy hasło trwogi rozniosą dzwony od wieży do wieży, od najcichszego miasteczka, aż do grodów królewskich. Nie mówcie mi, że czarny jest stworzony do*

*niewoli, że tylko groźba i boleść czynią go wiernym i uległym“...*

Na szczęście złowrogie przepowiednie nie sprawdziły się. Wyzwolenie czarnych nie stało się hasłem do rzezi ogólnej. Murzyni, zdobywszy upragnioną wolność, nie myśleli o vendecie, lecz o jak najwszechstronniejszym wykorzystaniu swobody. Natychmiast zaczęli brać żywy udział w życiu politycznym. Dla zilustrowania do czego doszli na tem polu, opiszę jeden fakt charakterystyczny.

Pewnego razu udałem się na zebranie T-wa Polsko-Brazylijskiego w Rio de Janeiro. Sala obrad przepełniona była doborową publicznością. Wśród zebranych wyróżniał się doskonale ubrany pan, o szlachetnym i pełnym godności spojrzeniu. Ciemna wa jego cera i lekko zakręcone włosy dobitnie świadczyły o przymieszce krwi murzyńskiej. Sądząc z wyglądu, musiał to być jaki dyplomata.

— Kto to jest? — zapytałem na ucho jednego ze znajdujących się na sali Polaków.

— To pan Mello Vianna, prezydent Senatu, który z racji zajmowanego stanowiska jest równocześnie wice-prezydentem Brazylii..

Taką więc drogę przeszli kolorowi w życiu politycznym Brazylii. W 1888 roku bat białego pana znaczył na ich plecach krwawe pręgi, w 1930 prezydentem Senatu i wiceprezydentem Brazylii jest mieszaniec Mello Vianna...

Nie był to jakiś wyjątkowy wypadek wyniesienia kolorowego.

W roku 1931-tym widziałem na przyjęciu, urządzanem przez jedno z poselstw europejskich w stolicy Brazylii zupełnie czarnego dżentelmena, który, jak się okazało, był szefem protokołu dyplomatycznego w brazylijskim ministerstwie spraw zagranicznych. Wiedzano o antogonizmie panującym między Anglo-Sasami a murzynami, a mimo to nie wahano się powołać czarnego na stanowisko, na którym musiał ciągle stykać się z angielskimi i północno-amerykańskimi dyplomatami.

Naogół wszędzie — w ministerstwach, w rządach stanowych, na poczcie, w wojsku i marynarce, w kościele spotkać można murzynów na wszelkich szczeblach hierarchji. Szczególnie wielu widzi się murzynów w wojskach stanowych i policji.

Pod niektórymi względami murzyni górują nawet w Brazylii nad białymi współrodakami. Wśród tych ostatnich bowiem wie-



lu jest świeżych przybyszów z Europy, słabo znających miejscowy język portugalski czujących się obco w Nowym Świecie. W tych warunkach murzyn-tubylec jest śmielszy i pewniejszy siebie od słowiańskiego lub germańskiego chłopca. Czarny, mieszkający w Brazylii jeszcze przed rozpoczęciem na wielką skalę białej imigracji, uważa się za „*Brasileiro legitimo*“ („rdzennego Brazylijczyka“) i z wyższością spogląda na białych „*estrangeiros*“ (cudzoziemców). W jesieni 1931 roku widziałem jak ulicami Rio de Janeiro kroczył z muzyką wojskową na czele brazylijski pochód narodowy. Ponad głowami marszerujących tłumów widniały transparenty z napisami „*Brazylja tylko dla Brazylijan!*“ Demonstrantom, złożonym przeważnie z robotników, chodziło o to, aby w okresie szalejącego w Brazylii kryzysu przyjmowano do pracy przede wszystkim obywateli brazylijskich. Nie to jednak było ciekawe, lecz okoliczność, że ogromna większość narodowych manifestantów rekrutowała się z murzynów i mulatów.

Nie można jednak powiedzieć, żeby nie było wcale wpływów przeciwdziałających zupełnemu równouprawnieniu czarnych. Kapitałisci anglo-sascy, grający pierwsze skrzypce w przemyśle brazylijskim, z niechęcią pa-

rzą na „rozpuszczenie negrów“. Wielka firma w Rio de Janeiro „Light and Power“, do której należą tramwaje, autobusy, elektrownia i gazownia w stolicy, przyjmowała do swoich przedsiębiorstw znacznie chętniej łąbo znających język miejscowy białych cudzoziemców, niż doskonale obznajmionych ze stosunkami lokalnymi murzynów i mulatów. Dopiero dekret rządu brazylijskiego ó-ra Getulio Vargasa, wydany po zwycięskiej rewolucji w październiku 1930 roku, zabronił, aby w przedsiębiorstwach było mniej niż 2/3 urodzonych Brazylijan. Uniemożliwiło to Anglosasom stosowanie dotychczasowych praktyk.

Również w wielkiej firmie północno-amerykańskiej „Empreza Electrica Brasileira“, zatrudniającej przy budowlach w stanie Bahia wiele tysięcy robotników różniczkowali Yankesi białych od niemal wyłącznie kolorowych Brazylijan. Robotnik brazylijski nigdy prawie nie dostawał więcej niż 1 zł. 50 gr. za godzinę pracy, podczas gdy jego biały kolega, robiący to samo, zaczynał od 1 złoty 50 gr. Pozatem biali mieszkali w oddzielnych barakach i byli faworyzowani. Wogóle w przedsiębiorstwach anglosaskich w Brazylii murzyn nie mógł liczyć na zbyt wielką karierę.

Także i filmy północno-amerykańskie wpływają na Brazyljan w duchu nieprzychylnym dla rasy czarnej. Często przedstawiają one murzynów w komicznem świetle. Tak np. widziałem na jednym z takich filmów tchórzostwo czarnego, przedstawione w sposób karykaturalny, na innym znowu — wybijanie zamkniętych drzwi głową jakiegoś murzyna. Pod tym względem jednak propaganda antymurzyńska nie może zajść zbyt daleko, gdyż czarni Brazyljanie nie dopuszczają do jawnych, specjalnie przeciwko nim skierowanych ataków. Zresztą i ich biali współrodacy myślą dzisiaj inaczej niż przed pół wiekiem i odporni są na podszepty „stuprocentowych“ Yankesów.

Pomimo zupełnego równouprawnienia w życiu politycznem, murzyni brazylijscy nie osiągnęli zrównania z białymi w życiu gospodarczem. Dekret dobrotliwego Don Pedra zabrał białym niewolników, ale nie odebrał im plantacyj. Murzyn z raba zamienił się w wolnego obywatela, w dalszym ciągu jednak pozostał biedakiem. Albo musiał, jako najmita, pracować u swoich dawnych panów, albo też — co się częściej zdarzało — porzucał plantacje, zaszywał się w lasy, karczował i wypalał kawałek puszczy i oddawał rozkoszom życia wegetacyjnego. Biali je-

go współrodacy, zwłaszcza ci, którzy przywędrowali z Europy, bogacili się, zdobywali wielkie bogactwa i jako kapitaliści odzyskiwali powoli władzę, którą stracili po zniesieniu niewolnictwa, podczas gdy murzyni bardzo wolno podnosili się na wyższy poziom i pod względem ekonomicznym pozostawali o dwie długości w tyle za swoimi białymi rodakami. Tak więc, o ile w życiu politycznym przez myśl nikomu nie przejdzie traktować inaczej czarnego od białego, o tyle w życiu towarzyskiem biedny murzyn rzadko kiedy ma możliwość swobodnego stykania się z białymi. Nikt się nim nie brzydzi, nikt mu nie zakłada wstępu do swojego domu, kontakt z białymi jednak utrudnia mu bieda. Bogaty murzyn czy mulat jest wszędzie dobrze widziany, chociaż białe damy, szczególnie na południu Brazylii, niechętnie ukazują się w towarzystwie czarnych. Ostatecznie bowiem nasze pojęcie o piękności jest odmienne od murzyńskiego i trudno wymagać od białej senjority, aby zachwycała się negrem o włosach twardych jak materac, jedynie z tej racji, że i on jest takim samym człowiekiem jak jego biały brat. Murzyn czystej krwi, o rysach zdecydowanie afrykańskich, jest nieco w życiu towarzyskiem upośledzony i tylko na północy Brazylii, gdzie czar-

ni czystej krwi znajdują się w większych ilościach to upośledzenie daje się mniej odczuwać.

To, drobne zresztą, upośledzenie murzynów ma zupełnie odmienny charakter niż w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Yankes tak nienawidzi murzyna i brzydzi się nim, że za hańbę uważa najmniejszą nawet domieszkę krwi czarnej. Wystarczy, żeby jakiś osobnik miał niewielki jej procent w swych żyłach, aby był wykluczony z białej społeczności. Wystarczy kędzierzawy włos, lekka bronzowość skóry, aby džentelmen, mogący u nas uchodzić za opalonego i a słońcu sportowca, był odgradzony zupełnie od białych.

Brazylijanin zapatruje się na te sprawy zupełnie odmiennie. Człowieka o niewielkiej domieszce krwi czarnej, uważa za białego i jako takiego traktuje. Więcej nawet — można w Brazylii być zupełnie czarnym i mieć tylko rysy europejskie, a uchodzić nie za murzyna, lecz... bruneta. Niema tam zoologicznej nienawiści do kolorowych.

Obyczaje negrów uległy zasadniczej zmianie od czasu zniesienia niewolnictwa. Przed rokiem 1888 biały pan mógł robić co mu się podobało ze swojemi niewolnicami. Miał prawo nietylko do pierwszej nocy, jak jego

europcy kolędy z okresu feodalnego, ale i kaędej nocy w czasie której ogaręła go żędzę. Nie była przeszkodę w jego zamiarach okoliczność, że ofiara jego namiętności miała już narzeczony lub męza. Opór ka rano bezlitośnie. A zresztę... oporu tego nie było. Niewola upadła człowieka. Wiele z ofiar uważało za szczęście, że pan raczył spojrzeć na nie łaskawym wzrokiem.

Obecnie wszystko radykalnie się zmieniło. Czarne senjority zachowują się z taką samę, pełną dystynkcji powściągliwością, jak ich białe rówieśnice. Nawet w stosunku do kolorowej służącej nie może sobie ich „jasny“ pan pozwolić na takie poufałości, jakich dopuszcza się pan domu w starej Europie. Istnieją romanse, młode dziewczęta murzyńskie i mulackie oddają się niejednokrotnie białym zdobywcom, ale nie z lęklivego szacunku dla ludzi wyższej rasy, lecz z naturalnego popędu, rzucającego w ramiona osobniki, różniące się nietylko kolorem skóry, ale majątkiem, wykształceniem, urodę... Jeszcze sześćdziesięciopięcioletni starcy pamiętają potworne czasy niewoli, a już ich córki i synowie zachowują się tak, jakby nigdy obroza nie dławiała murzyńskiego gardła.

Być może, że tak gruntowne zapomnienie o dawnych, złych czasach ułatwiła potom-

kom niewolników znana beztróską murzynska. Czarny nauczył się w latach ucisku żyć chwilą i tylko chwilą. Zdolność zapomnienia o przebytych cierpieniach była dlań jedynym ratunkiem; bez niej musiałby się załamać pod gniotącym go ciężarem. To też w chwilę otrzymaniu bolesnych plag, śmiał się przez łzy, wyskakiwał wesoło i śpiewał, ciesząc się, że nie warto się smucić tem co minęło... Po zniesieniu niewolnictwa murzyn brazylijski zmienił się bardzo, ale nie stracił swojej beztróski. Dawniej nie przejmował się plagami pana, teraz nie gnębi się spadającymi na jego barki plagami żywota. Nie martwi go ubóstwo. Wystarczy mu ładajaka chatka, sklecona z chróstu i gliny, zadowolni garść fasoli czarnej, rozgotowanej z ryżem i skąpo kraszonej i kilka bananów na deser. Jest wolny, może robić co mu się podoba, a raczej robić bardzo mało i nic mu więcej mu nie potrzeba do szczęścia. Żywiołem jego jest sport, któremu oddaje się z zapalem neofity, śpiew muzyka i wesołe pląsanie. Jeżeli, kiedy powstanie na ziemi brazylijskiej wielka poezja, jeśli zabłysną tam genialni śpiewacy i muzycy, to napewno pochodzący będą z rasy czarnej. Ci ludzie, lekceważący brutalną walkę o byt, przepelnieni radością życia i zdolni do odczuwania

ajsobtelnej<sup>ooych</sup> drgnień serca ludzkiego, są akby stworzeni na pustaw.

Murzyn zapomina łatwo i chętnie. Namiętności jego wybuchają z potężną siłą, aby, o chwili uspokoić się i ucihnąć. W momencie jednak wybuchu są nad wyraz groźne. Czarny nie rozumuje — jeśli go ktoś obrazi, lub skrzywdzi — reaguje natychmiast. Nagodna jego twarz nabiera wówczas bestjalckiego wyrazu, oczy miotają błyskawice, a ręce machinalnie sięgają po brzytwę, straszącą broń w rękach rozszalałego negra.

Brzytwa jest ulubioną bronią murzynów. Dla ich wybuchowych odruchów jest ona najdoskonalszym narzędziem mordu.. Efekt uderzeń jej jest szybki i niezawodny. Murzyn nie uda się nigdy bez niej na zabawę, do szynku, lub wogóle do miejsca, gdzie istnieje możliwość zwady i bitki. Jak „majcher“ jest narodową bronią łobuzów nadwiślańskich, tak brzytwa jest takim nacjonalnem narzędziem mordu w rękach „czarnych Brazylijan“.

„Pewnego razu, opowiadał mi p. F., jeden z moich przyjaciół w Rio de Janeiro, zgromiłem murzyna, usługującego mi w pensjonacie. Nie wiedziałem jeszcze, że z negrami brazylijskimi trzeba się obchodzić jak z jajkiem. Czarny wysłuchał moich wymó-



vek ze zgrzytaniem zębów, ale nic nie odpowiedział. Myślałem, że przyjął uwagi do wiadomości i wkrótce zapomniałem o całym ncydencie. Nazajutrz położyłem się nieco różnie spać i przed zaśnięciem spoglądałem w otwarte okno, przez które widać było ąbek gór Carioca, oddzielających wielką plażową dzielnicę Copacabana od reszty miasta. Z ogrodu dolatywał upajający zapach wielkich, białych, nieznanych mi kwiatów. W świetle księżyca widać było wszystko doskonale. Ciszę nocy podzwrotnikowej przyrywały tyło świerszcze, wydające i tu, w ziemi Świętego Krzyża, te same odgłosy, co w starym kraju. Rozmarzony cudami cieplej krainy, zasypiałem już prawie, gdy zbudziło mnie czyjeś ostrożne stąpanie. Ktoś cichutko zbliżał się do moich okien. Przez głowę przemknęły mi się wesołe wspomnienia rozmaitych romantycznych historyj. Lecz, cóż to? W oknie zamajaczyła jakaś ciemna figura. W poświacie księżyca poznałem postać naszego służącego. Z brzytwą, gotową do napaści, wspinał się, jak kot na framugę okienną. Ruchy miał chwiejne, ale mocno dzierżył w ręku narzędzie mordu. Groźny jego cień jaskrawo rysował się na tle otwartego okna.

Natychmiast wywierzały mi się z głowy ro-

miantyczne historie. Chwyciłem rewolwer, leżący szczęśliwym trafem na szafce nocnej i zawołałem: — Stój, bo strzelę! — Murzyn drgnął, zeskoczył z okna i niemal bezszelestnie zniknął w gęstwinie ogrodu.

Zamknąłem szczelnie okna i okiennice, zarygnowałem starannie drzwi, odsunąłem bezpiecznik browninga, ale nie mogłem zasnąć tej nocy. Nazajutrz wyprowadziłem się z pensjonatu“.

Murzyn brazylijski, pomimo przyjęcia cywilizacji portugalskiej, zachował bardzo wiele cech dzikiego mieszkańca Afryki. Cechy te szczególnie silnie przejawiają się w czasie zabawy. W lutym 1931 roku przebywałem w Rio de Janeiro w czasie karnawału, obchodzonego w Brazylii z wielką okazałością. Miałem wówczas świetną sposobność przyjrzenia się zachowaniu murzynów w czasie tej festy pod gołym niebem, trwającej kilka dni.

Dla wyjaśnienia należy zaznaczyć, że karnawał w Rio de Janeiro trwa tylko trzy dni, ale jest zupełnem świętem i odbywa się pod gołym niebem, na ulicach i w parkach, zalanych potokami gorących, letnich promieni słonecznych. Cała ludność olbrzymiego miasta wylega na ulice i przez trzy doby tańczy, śpiewa, obrzuca się confettiami i oble-

wa eterem, bije w bębenki i kastanjety i flirtuje na potęgę. Radość jest powszechna i żywiołowa. Spokojne zazwyczaj i powściągliwe damy brazylijskie szaleją jak niewolnice rzymskie w czasie saturnalij. Mało kto śpi w czasie tych nocy karnawałowych, opętanych szaleństwem.

O ile nawet ospały zazwyczaj i flegmatyczny biały Brazylijanin rzuca się bez pomiarowania w wir zabawy karnawałowej, o tyle, stokroć bardziej oddaje się jej jego czarny brat. Nie jest ona dlań chwilą rozrywki, odpoczynku po trudach walki o byt, lecz najwyższą radością, celem samym w sobie. On żyje zabawą, oddycha nią; bez niej uschnąłby i zmarniał.

To też ani jeden murzyn nie zostaje w domu w czasie karnawału rioskiego. Starcy i dzieci, matrony i podlotki, bogaci i biedni, poważni i podszyeci wiatrem — ubierają się w czasie tej narodowej festy w kolorowe stroje, mocno przypominające ubiór dzikusów w Angoli, chwytają do rąk bębenki i kastanjety i całemi gromadami wędrują po szerokich, oświetlonych al giorno i cudownie wyasfaltowanych awenidach Rio de Janeiro. Wśród bawiących się widać kobiety ubrane w sukienki z suszonej trawy i przyozdobione bransoletkami na rękach i nogach. Nieina-

czej muszą wyglądać tanecznice, pływające na zabawie w wiosce murzyńskiej w Gwinei lub Kongo...

W roku 1931, z powodu kryzysu, biała ludność wzięła mniejszy niż zazwyczaj udział w zabawach karnawałowych w Rio de Janeiro. Nie miała pieniędzy na kosztowne stroje, w które lubiły przebierać się białe senjory. Czarni nie wstąpili pod tym względem wślady swoich jasnych współrodaków. Ich ubiory karnawałowe były tak skromne i niekosztowne, a ochota do zabawy tak żywiołowa, że jeszcze gęściej niż zazwyczaj zalegli gwarne avenidy stolicy Brazylii.

Ten zalew murzyński wprowadził w pasję jednego z moich znajomych, który piorunował na „czarną okupację“. Nie mogłem mu jednak sekundować, bo stokroć bardziej podobala mi się beztroska radość negrów od wymuszonej trochę i pomimo zewnętrznych pozorów zawsze nieco sztywnej wesołości stu procentowych „bladych twarzy“. Ten kto cierpi na nostalgię, kto nie potrafi odczuwać pełnemi piersiami radości życia, powinien pójść na zabawę murzyńską i popląsać z czarnymi. Zrozumie wówczas, że biały mógł zrobić wiele, mógł swoim mądrym trudem opanować świat, mógł pokusić się o rozwiązanie wielu trapiących ludzkość zaga-

ek, nie potrafił jednak pokonać własnej nudy. Tej sztuki może go nauczyć tylko kołhany, miły, tak niesłusznie lekceważony — ciemny brat.

Murzyni i mulaci nie są w Brazylii równomiernie rozsiedleni. Największe ich skupienia są na północnym-wschodzie Brazylii, zwłaszcza w stanach Bahia, Sergipe, Alagoas, Pernambuco, Rio Grande del Norte. Szczególnie w Bahii, głównem mieście północnej Brazylii i dawnej stolicy ziemi Świętego Krzyża daje się odczuwać przygniatającą przewagę żywiołu czarnego. Spotyka się tam nawet czarnych biskupów i generałów, nie mówiąc już o czarnych fazenderach, nadających ton życiu całego stanu Bahia.

Na południu Brazylii, w stanach Sao Paulo, Parana, Santa Catharina i Rio Grande do Sul procent murzynów i mieszaićów nie jest zbyt wysoki. Od stu lat napływali tu koloniści europejscy z Niemiec, Włoch i Polski i poważnie przyczynili się do wybielenia koloru skóry brazylijskich „południowców“. Ponieważ jednak kolorowi są tubylcami, a biali immigranci-przybyszami, więc czarni czują się pewniej niż europejscy przychodźcy i są liczniej od nich reprezentowani w wojskowości i urzędach.

W dziedzinie życia gospodarczego ne-

grzy nie reprezentują tak cennych wartości, jak ich współrodacy. Zwłaszcza o wiele długości pozostają w tyle za przybyszami z Europy. Czarny zbyt kocha śpiew, zabawę i beztroskie lenistwo, aby móc współzawodniczyć z twardym chłopem niemieckim lub słowiańskim. Skoro tylko zaspokoi najprymitywniejsze potrzeby, rzuca pracę i oddaje się uciechom. Obce mu są cnoty Volpone'a, rozkoszującego się samem tylko przesypywaniem kążków żółtego metalu.

### RAJ MURZYNÓW.

Brazylja dzisiejsza jest rajem dla murzynów. Olbrzymia kraina, pokryta w dwóch trzecich nieprzebytą puszczą dziewiczą, smagana bezustannie płomiennymi biczami promieni słonecznych, jest jakby stworzona na siedzibę dla przybyszów z Afryki; nie czują się tu obco, nie tęsknią do krain, znajdujących się po drugiej stronie Wielkiej Słonej Wody. Obecnie, po wyzwoleniu się z niewoli, jest im w Brazylji znacznie lepiej niż w Afryce. W Afryce świszcze jeszcze ciągle nad ich karkami bat białych panów, którzy drogą „sprytnych kruczków zdobyli prawo do bezkarnego wyzyskiwania „wolnych,

najmitów murzyńskich. W Brazylii, po zniesieniu niewolnictwa, nikt już murzyna nie zmusza do nadmiernej pracy. Tam gdzieś na południu, na fazendach Sao Paulo, lub pżennych niwach Parany, trudzą się biali producenci, znajdujący przyjemność w wyścigu pracy; murzyn brazylijski nie wysiła się zbyt i błogosławi losy, że nie kazały mu mieszkać w krainie przodków — Angoli lub Gwinei, lecz w wolnej Brazylii, w cieniu dobroczynnego dekretu abolicyjnego Don Pedra.

Na Wielkanoc 1931 roku wędrowałem konno w stronę gór Sierra de Mantiqueira, położonych na pograniczu stanów Rio de Janeiro, Sao Paulo i Minas Geraes. Droga prowadziła wzdłuż mętnej, szeroko, rozlanej rzeki Parahyby. Po obu brzegach znajdowały się, dość gęsto rozrzucone, chatki rybaków murzyńskich, ocienione gajami bananowemi. Zaciekało mnie życie „czarnych Brazylijan“ i postanowiłem przyjrzeć mu się nieco bliżej. Bardziej szczegółowa obserwacja przekonała mnie, że znajduję się w okolicy, którą śmiało nazwaćby można „rajem murzyńskim“.

Domami negrów z nad Parahyby były malutkie chatki, lepione z gliniastego mułu rzeczno i przetykane chróstem. Pokry-

wały je dachy z ogromnych liści palmowych, chroniące przed drobnem deszczem, ale nie stanowiące dostatecznej osłony przed wielkimi burzami tropikalnymi. Potężna ulewa roztapiała te „budowle“ i pozbawiała ich mieszkańców dachu nad głową. Nie przejmowało to jednak zbytnio negrów, którzy zaraz na drugi dzień, skoro słońko znów mocno zaczęły przygrzewać, zabierali się do roboty i wnosili w kilka dni nowe szałas.

W chatach tych, oprócz prymitywnych barłogów i kilku najniezbędniejszych sprzętów, nie było nic. Przepraszam... na ścianie wisiały zazwyczaj harmonje lub gitary, na których, czarni muzycanci wygrywali często swoje smętne melodje.

Obok „domów“, mieściły się ulepione z liny Kuchenki, na których kolorowe gospoie warzyły nieśmiertelną czarną fasolę i smażyły ryby, dostarczane w obfitości przez poliską rzekę. Opodal schły niezdarne sieci i drzemały, wyciągnięte do połowy na ląd, łodzie rybackie.

Koło domów rosły drzewa bananowe i rozciągały się maleńkie pólka, na których rosła czarna fasola, bataty i trochę warzyw.

Życie negrów z nad Parahyby jest zupełnie nieskomplikowane. Najmniej czasu zaj-



muje im walka o byt. Zdobyć kawałek ziemi nad rzeką nie przedstawia poważniejszych trudności. Na gruncie kupionym lub tylko „okupowanym“ murzyn sadi trochę patatów fazonu (czarnej fasoli), oraz drzew bananowych, owocujących niekiedy już w pierwszym roku; żyzna gleba nadrzeczna stokrotnie wynagradza nawet najędźniejszą pracę i czarny rolnik kosztem minimalnego wysiłku zdobywa podstawy egzystencji. Prawdziwą jednak manną niebieską są dlań ryby w niesłychanej obfitości przepelniające mętną rzekę. Stary ojciec rodziny wysyła od czasu do czasu do rzeki kędzierzawego synka, z włoskami twardymi jak materac. Synek zanurza kilka razy sieć w brudnej wodzie i wyłowwszy kilka tłustych ryb, wraca do domu, gdzie matka jego przyrządzi z nich w godzinę smaczną potrawę dla całej rodziny. szukającej ochłody w cieniu szerokolistnych bananów. Gospodarka ich jest idealnie samowystarczalna. Żyją niemal wyłącznie tem, co sami wyprodukują. Odzież (notabene niesłychanie lichą i skromną) dostają wzamian za ryby. Kryzys jest dla nich pustym frazesem. Cóż ich obchodzi ceny kawy, kakao, kauczuku? Ziemia ich, użyźniana mułem rzeczonym, zawsze urodzi im dosyć fasoli i batatów, a rzeka — smacznych

yb. Podatki są tak minimalne, że dosłowne groszami dają się epędzić, słońce prawie zawsze grzeje, a rzeźwe powiewy z pobliskich gór dają spokojny i mocny sen po trudach słodkiego leniuchowania. Pracują może trzy godziny dziennie, zadawalniając się jednak często dwu- a nawet jednogodzinnym wysiłkiem. Prawdopodobnie Adam i Ewa, których jedyną pracą było zrywanie owoców z gęsto rosnących drzew rajszych, musieli prowadzić tryb życia taki sam jak murzyni z podnóża gór Sierra de Mantiqueira.

Korzystając z wolnego czasu, negrzy parahybscy oddają się rozkoszom życia domowego. Rodziny ich są niesłychanie liczne. Nieraz sam ciemny patriarcha nie wie dobrze ile ciemnych bobasków z kręconemi włosami i wywiniętymi wargami hasa w jego gajku bananowym. Wyleguje się wraz z nimi i grzeje na słońcu. Nietrudno mu przytem przychodzi wżyć się w ich psychologję, bo przecież sam jest tylko dużym, starym dzieckiem.

Najmilszym dla murzyna z nad Parahyby, i nietylko dla niego, okresem życia są lata młodzieńcze. Z harmonją lub gitarą w rękę błądzi po gajach, lub wędruje w noc księżycową nad brzegami rzeki i przywołuje

muzyką i śpiewem swoją ukochaną. A gdy czarna Wenus wyłoni się z zarośli nadbrzeżnych, białe zęby negra wgrzają się namiętnie w słodki owoc życia. Rozkoszny wypoczynek pod błękitnem niebem Brazyli dał ramionom jego moc niezmożoną. Czasem dopiero niedyskretne słońce oznajmia czarnym kochankom, że czas już rozpleść ramiona i wracać do swoich glinianych domków. A może doczekali, pokrzepieni bananami i pomarańczami, do nowego wieczoru?

Jadąc konno, w stronę rysujących się na horyzoncie gór, zazdrościłem murzynom ich rajskiego żywota, oderwania się od trosk życiowych, spokojnego szczęścia w cieniu bogatej roślinności podzwrotnikowej. Wiedziałem wprawdzie, że szczęście to jest czysto zwierzęce, że wszystko co stworzyli mędrcy w ciągu tysięcy lat żmudnej i wytrwałej pracy było dla nich obce, a jednak... coś mnie ciągnęło do tego życia pełnego dziecinnej radości, jakby modelowanego na sielance Bernardin'a de Saint Pierre'a. Marzyłam na jawie o wyrwaniu się z kręgu ustawicznych trosk i zmagania życiowych, o pogrążeniu się w beztroskiem bytowaniu ciemnych Brazylijan.

Słońce dochodziło do kresu horyzontu,

gdy minąłem ostatnie osiedle parahybskie i powoli zacząłem drapać się na pierwsze zboże górskie dumnego łańcucha Sierra de Mantiqueira. W gajach bananowych rozlegały się już melancholijne dźwięki gitar i różne, hałaśliwe nieco tony harmonij. Czarni kochankowie wyruszali na spotkanie miłosnej przygody...

Nie wszyscy murzyni żyją tak jak mieszkańcy żyznych terenów porzecza Parahyby. Wielu ciężko pracuje na fazendach lub w fabrykach. Niektórzy przełamali rasowy marazm i osiągnęli wysokie stanowiska w hierarchji społecznej. To jednak, co widziałem u podnóża gór Sierra de Mantiqueira, było bezsprzecznie ideałem życia murzyńskiego, uosabiało jego marzenia o rajach ziemskim.

Która filozofja życiowa jest lepsza? Czy wiekuiste dążenia białego człowieka do postępu, do coraz mocniejszego oplatania świata mackami swoje mądrości i przemyślności, czy beztroska negrów, nienawidzących trudu, rozkoszujących się słońcem, śpiewem i miłością? Czy życie, pocięte na godziny, nerwowe i wytężone, zagłuszone przez stukot wrażeń? Czy słodkie dolce far niente w cieniu wiecznej zielonych palm, w objęciach rozmarzonej i wytrwałej kochanki?

Gdybym był murzynem, powiedziałbym, że mierzi mnie brutalna walka o byt, postęp, ujmujący ustalony tryb życia, praca, odbierająca siły i ochotę do długiej pieczyoty miłosnej. Jestem jednak białym i gdy zadałem sobie podobne pytanie w czasie wędrówki nad Parahybą, po krótkiej chwili słabości, powiedziałem sobie, że nie dla mnie jest podobne życie, zaciąłem mocno konia i popiesznie opuściłem „raj czarnych“... Trudno, trzeba się urodzić murzynem, aby móc przejść przez życie i nie mieć ambicji pozostawienia na świecie choćby najmniejszego ładu swej działalności.

A jednak, gdy w chłodne wieczory zimowe myślę w Polsce o beztroskim życiu „czarnych Brazylijan“ z nad Parahyby, buntuję się przeciw przymusowi walki o byt, jaką narzuciły nam losy. Chciałbym, choć na chwilę, przenieść się do ich ciepłej ojczyzny i wetchnąć w płuca nieco ozonu beztroski murzyńskiej. Może łatwiej byłoby znieść tą ciemną i ponurą zimę.

Ten, kogo znużyła twarda walka z życiem, kogo mierzi trud kroczenia naprzód, kto nadewszystko ceni spokój, powinien powędrować nad szare wody Parahyby i poprosić czarnych braci o przyjęcie do swej spo-

eczności. Jeżeli potrafi zapomnieć o przeszłości, przypomną mu się legendy o raju utraconym. Wgnana bowiem z burzliwego świata radość życia schroniła się do czarnych Brazylijan“.

---



**Biblioteka Powieściowa  
„RÓJ”**

książek kwartalnie

wraz z przesyłką zł: (

**III KWARTAŁ 1932 R.**

- 3 — King — Mała Katy.  
4 — Eberhart — Gdy pacjent przemówi  
5 — Jeau de la Hire — Belzebub.  
6 ) — Giraudoux — Bella.  
7 )  
8 — Meisnerówna — Srebrzysty namiot.  
B. H. G.  
00 — Lepecki B. — Czarni Brazylijanie.  
01 — Strzałkowski — Ataman Machno.  
02 ) — Kurnatowski — Od roku 1908 do dzisiaj  
03 )  
04 — Czeczott — Kitchener.  
05 — Parnicki — Czan Tso-Lin.

**Towarzystwo Wydawnicze „RÓJ”  
Warszawa, Kredytowa 1.**

**dalszy ciąg spisu złotych książeczek  
z 4-tej str. okładki.**

169. — Z kroniki Bemów — Włodz. hr. Bem de Cosba  
 170. „Falszywy Hohenzollern” — A. M. Matoga-Ferus.  
 171. „Więzienia i ucieczki” — Michał Godlewski.  
 172. Zagadka Zagłowca” — Br. Falk.  
 173—174. „Szpilka z trupa główką” — L. Kurnatowski  
 175—176. „Bohater mechaniczny” — Bruno Winawer.  
 177. „Falszywe promienie” — H. Ashton Wolf.  
 178. Casanowa w Warszawie” — \* \* \*  
 179. „Wywiad rosyjski” — M. Godlewski.  
 180. Król sutenerów” — D. Bachrach.  
 181—182. „Ząb czasu” — Bruno Winawer.  
 183—184. „Hanoi-Szan” — H. Ashton Wolf.  
 185. „Subutaj-pogromca” — I. Ziemiański.  
 186—187. „Sprawa Dreyfusa” — Jerzy Stefanowski.  
 188. „Walka tytanów” — komandor ppor. Czeczott.  
 189. „Bohater pustyni” — Jerzy Karin.  
 190. „Tajemnica pokoju Nr. 18” — D. Bachrach.  
 191—192. „Od bieguna do bieguna” — Bruno Winawer.  
 193. „Awanturnicy i bohaterowie wielkiej wojny” —  
 M. Godlewski.  
 194. „Admirał Makarow” — komandor ppor. Czeczott.  
 195. „Obłęd złota” — L. Kurnatowski.  
 196. „Giżanka” — T. Kutz.  
 197. „Ludzie sławni w anegdocie” — W. Kietlicz-Wojnac  
 198—199. „Tempo” — Bruno Winawer.  
 200. „Czarni Brazyljanie” — Bohdan Teofil Lepecki.  
 201. „Ataman Machno” adw. Seweryn Strzałkowski.  
 202—203. „Od roku 1908 do dzisiaj..” — M. L. Kurnatow  
 204. „Kitchener” — komandor ppor. Czeczott.  
 205. „Czan Tso-Lin” — Teodor Parnicki.